

Pozszywać to, co rozdarte

Z siostrą Małgorzatą Chmielewską rozmawia Łukasz Tischner

Kai Bumann w swoim przesłaniu do cyklu spotkań¹, w ramach którego rozmawiam z Siostrą, napisał, że wbrew malkontentwu wielu naszych rodaków – Polska jest krajem nadziei. Czy Siostra podziela jego optymizm?

Mamy trochę szczęście w nieszczęściu, ponieważ mniej więcej dwadzieścia lat temu zastaliśmy tu wielki bałagan, który umożliwia stworzenie czegoś nowego, innego, czegoś, co byłoby może trochę lepsze niż to, co jest obok – w krajach Europy Zachodniej, które swój dobrobyt i stabilność budowały powoli, bez wielkich wstrząsów, przez dużo dłuższy czas, ale jednocześnie popełniały i popełniają bardzo wiele błędów.

Polska jest rzeczywiście krajem nadziei. Nadziei na piękno. Jestem osobą wierzącą, więc ufam, że świat został stworzony przez Boga i Jego Miłość, a potem oddany nam w dzierżawę. Jest jednak popsuty – psujemy go sami, czasem psują go siły natury – więc to my mamy budować jego harmonię, odsłaniać piękno: to zadanie naszego życia. Przemiana tego świata w świat piękniejszy to w gruncie rzeczy twórczość artystyczna, co świetnie pokazuje miejsce, w którym się znaleźliśmy – filharmonia.

Wychowywałam się u Sióstr Niepokalanek w Szymanowie i do dziś, kiedy przekraczam próg pięknego starego pałacu, w którym mieści się szkoła,

uderza mnie nieprawdopodobna troska pokoleń sióstr o zachowanie harmonii. Jest tam wielki ład i porządek – nie jakaś nieludzka czystość i rygor, tylko taki porządek, który pozwala nam zaprowadzić ład w samych sobie.

Ja staram się przemieniać świat w piękniejszy, próbując zszywać to, co zostało rozdarte. Cierpienie i ból polegają przecież na rozdarciu, na braku jedności – w nas samych, ale również w świecie. Nawet w Kościele wszystko jest podzielone – na księży, świeckich, jezuitów, franciszkanów, siostry zakonne, księdza proboszcza, wikarego, który siedzi zamknięty w swoim pokoju itp. Świat jest nieprawdopodobnie podzielony, my też. Osobno są ci, którym się powiodło, osobno ci, którym się nie powiodło. Przemiana tego świata – a świat, który został nam dany, to przede wszystkim nasi najbliżsi, nasze miasto, miejsce pracy, ale także Polska – powinna właśnie polegać na zszywaniu tego, co zostało rozdarte. W domach naszej wspólnoty, gdzie mieszkamy z ludźmi, którzy zwracają się do nas o pomoc, spotykają się przy jednym stole książęta krwi i tacy, którzy do niedawna byli żebrakami. To miejsce jedności.

Jakiś czas temu, w gabinecie ówczesnego prezydenta RP, odbyło się spotkanie zorganizowane przez minister Barbarę Labudę, które dotyczyło tego, jak pomóc moim bezdomnym. Barbara Labuda, która jest buddystką, pojawiła się w otoczeniu swoich współpracownic z partii na ogół odległych od katolicyzmu i powiedziała: „Wiesz, tym kobietom nie są bliskie sprawy duchowe, ale ja chcę, żeby przez twoją obecność zetknęły się z duchowością”. Praktycznym efektem rozmowy było to, że nasze domy otrzymały artykuły spożywcze, ale stało się coś dużo ważniejszego - otworzyliśmy się na siebie. Innym razem odwiedziła nasze schronisko prezydent Hanna Gronkiewicz-Waltz. Została oprowadzona po salach razem ze swoją świtą – urzędnikami, którzy w większości nie deklarują się jako katolicy – i powiedziała: „Przyszłam zobaczyć, w czym można wam pomóc, a przeżyłam rekolekcje”. Potem

¹ Rozmowa jest zapisem spotkania, które odbyło się 10 grudnia 2009 roku w Gdańsku w ramach „Filharmonicznych wykładów na Ołowiance: *Polska - kraj nadziei*”. Jego pomysłodawcą jest dyrektor

wspólnie z ludźmi bezdomnymi wypiliśmy herbatę. Właśnie to jest piękne - ta chęć przemiany świata, która łączy ludzi, bez względu na to, kim są i skąd pochodzą.

Ale zagraża nam też coraz bardziej ogromne niebezpieczeństwo potęgowania podziałów - ci, którzy są na dole, nigdy nie nadszają bez naszej pomocy i solidarności za tymi, którzy rozwijają się przynajmniej w tempie średnim (nie wspominając o tych, którzy prą szybko do przodu, czasami kosztem całej reszty). Nie nadszają nie dlatego, że są mądrzejsi czy głupszy, tylko dlatego że urodzili się inni. Zasadnicze pytanie, które stawiam sobie - ja, moja wspólnota czy wielu ludzi w Polsce, brzmi: co zrobić, żeby każdy mógł żyć pięknie? Zaznaczam – nie chodzi o bogactwo, ale piękno.

Jak takie piękno rozpoznać?

Rozmawiałam przed chwilą z moim przybranym synem, który pracuje „na zmywaku” w Londynie. Jest z pochodzenia Rumunem, ma żonę i dwójkę dzieci. Do dwunastego roku życia był bity (i nie tylko), zmuszany do żebrania na ulicy i widział na własne oczy takie rzeczy, jakie widuje się w krwawych kryminałach. Ma dwadzieścia trzy lata – oczywiście za wcześnie ma dzieci, oczywiście wszystko było tak, jak nie powinno było być. Ale to miałam wliczone w koszt. Przed chwilą jednak usłyszałam przez telefon radosny śmiech jego malutkich dzieci, moich wnuków. Na moje pytanie: „Co robisz?”, odpowiedział: „Idę z dziećmi na basen”.

Trzeba było dwunastu lat, żeby pozszywać to, co wydawało się absolutnie i definitywnie rozdarte. Ten chłopak – który choć ma maturę, w jakimś sensie skazany jest na zmywak w Anglii, także przez sytuację ekonomiczną w Polsce i przez to, że nie może przeskoczyć pewnych barier – jest w stanie żyć tam ze swoją żoną. Ona pochodzi z bardzo biednej, patologicznej rodziny polskiej.

Trzeba było dwunastu lat koszmarnego zszywania, szukania, uczenia miłości i pokazywania piękna. Pamiętam jego reakcję, gdy po raz pierwszy wzięłam go do teatru, pamiętam jego zasluchanie i zdumione, szeroko otwarte oczy, kiedy poszliśmy na koncert...

Czy i w jaki sposób jesteśmy w stanie podzielić się pięknem – umożliwić tym, którzy takich możliwości nie mają, jego przeżycie? Człowiek, który zetknie się z pięknem, będzie chciał żyć piękniej – niekoniecznie bogato, ale w czystym domu, w ładzie... W jego życiu i miłości będzie porządek.

Mieszkam na wsi, w świętokrzyskiem, gdzie ludzie od pokoleń są zdegradowani ekonomicznie, duchowo, kulturowo i edukacyjnie. Przez szereg lat prowadziliśmy zajęcia dla najbiedniejszych dzieci od szóstej klasy szkoły podstawowej do osiemnastego roku życia. Kiedyś, na jednej z wycieczek, których organizowaliśmy wiele, ponieważ te dzieci ze względu na brak pieniędzy nigdzie nie wyjeżdżały, pojechaliśmy do Kazimierza nad Wisłą, a stamtąd do Janowca. I pamiętam, jak siedemnastolatka z bardzo biednej rodziny, oglądając zachwycający widok na Wisłę i na Kazimierz, powiedziała do koleżanki: „Boże, jak tu pięknie!”.

Teraz otworzyliśmy na wsi świetlicę. Nazywamy ją Centrum Edukacji i Kultury. W małych wioskach, jak Polska długa i szeroka, jedyne miejsca, gdzie młodzież może się spotkać, to przystanek PKS i sklep z alkoholem. „Pazurami” wyremontowaliśmy budynek otrzymany od gminy, na otwarcie przyszła prawie cała wieś. Jedna ze starszych pań powiedziała: „Ale tu nie będzie przychodzić tylko młodzież, siostró. Tu mają być wszyscy razem: starsi, rodzice małych dzieci, dzieciaki i młodzież”. To daje poczucie jedności.

Co oferuje to Centrum?

Centrum prowadzi działalność na wysokim poziomie. Mamy tam trzy grupy angielskiego, nauka jest oczywiście za darmo, ponieważ gdybym zażądała

pieniędzy, to nikt by nie przyszedł, bo ludzie tam są zbyt biedni. Mamy też przedszkole i rytmikę dla dzieci - wszystko nieodpłatne. Dobrze wyszkolone przedszkolanki pracują metodą Montessori, w dużych miastach dostępną tylko dla rodzin mających. Zorganizowaliśmy również zajęcia plastyczne dla dzieci prowadzone przez świetną instruktorkę. Przed rozpoczęciem powiedziałam jej: „Niech się pani nie zraża, bo może przyjdzie tylko troje”. Kiedy przyjechałam na inaugurację, okazało się, że dzieci jest około trzydziestki i tyleż matek. I co zabawne, matki również robiły wycinanki i naklejały je na papier!

Potrzeba przeżycia czegoś pięknego jest w ludziach nieusuwalna. To nieprawda, że „moi ludzie” (tak nazywam naszych mieszkańców) nie mają takich pragnień. W naszych schroniskach dla chorych mieszkają bezdomni, niektórzy umierający, osoby z zaburzeniami psychicznymi, wielu alkoholików i ludzi na ogół bardzo prostych. W ubiegłym roku, przed Bożym Narodzeniem, do jednego z naszych schronisk przyjechali aktorzy na wieczór poezji. Wszyscy zastanawiali się, kto w ogóle zrozumie, co oni będą mówić. Moi ludzie słuchali tej poezji, muzyki i kolęd jak w transie. Płakali.

Jeżeli chcemy żyć w pięknym kraju, to musimy sobie uświadomić, że każdy ma czuć się solidarny i może dać coś pięknego drugiemu człowiekowi. To piękno może być bardzo różne. Na przykład takie, jakie serwuje mi codziennie mój drugi przybrany syn, Artur – głęboko upośledzony autystyk. Kiedy widzi, że wszyscy już wyszli z domu i nastaje jego czas, przynosi mi klapki i mówi: „Gosia, masz buciki”, a potem robi mi herbatę. To jest piękno miłości. Może być też inne piękno. W naszym schronisku dla chorych, jakieś osiem lat temu, mieszkał człowiek umierający na raka nerek. Z braku pieniędzy nie mieliśmy wtedy pampersów. Moja współsiostra, która jest pielęgniarką, nie spała całe noce, dbając o to, by się nie zmoczył. Kiedyś zajechałam do niej koło dziesiątej wieczorem. Piłyśmy razem herbatę i nagle wszedł jeden z mieszkańców, też chory na raka, ale chodzący. Podając jej pampersa, powiedział: „Siostrze Reniu, proszę wziąć tego pampersa i założyć go temu

choremu. Przynajmniej jedną noc się siostra wyśpi”. Ona była zaskoczona: „Przecież to pana ostatni pampers”. „Tak”, odpowiedział, „ale ja jutro pochodzę po organizacjach charytatywnych i coś sobie uzbieram”. Obiecałam sobie, że będę tę historię opowiadać wszędzie do końca życia. Jej zakończenie jest jeszcze piękniejsze: kiedy potem, całkiem przypadkowo, bez żadnej intencji, opowiedziałam ją Jurkowi Owsiakowi, kilka dni później dostaliśmy wagon pampersów, które wystarczyły nam na kilka lat.

Piękno może więc być bardzo różne. Dla mnie, kogoś, kto chce iść za Chrystusem, piękno to przemiana tego świata tak, aby był „jedno” i aby każdy mógł żyć godnie. Tak rozumiem „kwestię smaku”, o której pisał Herbert.

Polska może być krajem nadziei, jeżeli będziemy pilnować, aby wierszyki z okazji pierwszej komunii świętej mówiły księdzu nie tylko dzieci z dobrych rodzin, ale także te, które przystępują do niej w tenisówkach. A może najpierw te drugie .

Z tej wypowiedzi wynika, że najważniejszą inspiracją Siostry jest wiara. Żyjemy w czasach zamętu i zwątpienia. Skąd bierze się to głębokie przekonanie Siostry, że pragnienie Boga i poczucie Jego obecności są czymś rzeczywistym? W świetnej książce Siostry Wszystko, co uczyniliście pojawia się opowieść o największym cudzie, jaki wydarzył się w Siostry życiu. Było nim zniknięcie wszy w jednym z prowadzonych przez was domów, po tym jak „pokłóciła się” Siostra z Panem Bogiem i postawiła Mu ultimatum: albo do godziny 12 wszy znikną, albo rzucam całą tę robotę. Jaką rolę odgrywa w życiu Siostry poczucie cudowności i Bożej ingerencji?

Obecnie Pan Bóg takich cudów nie robi, ponieważ mamy środki na wszy. Wtedy, na początku lat 90. nie były nam dostępne.

Moje poczucie Bożej obecności bierze się z wiary. A skąd się bierze wiara? Nie wiem. Wiara to jest głębokie przekonanie, którego nie da się

wytłumaczyć, doświadczenie niezwykle osobiste, przeświadczenie, że Ktoś jest. Mówię oczywiście o wierze w Boga, bo można wierzyć drugiemu człowiekowi, czyli żywić głębokie przekonanie, że mówi on prawdę. Wiara bierze się ze spotkania z osobowym Bogiem, które każdy z nas (jeśli je przeżył, a jeśli nie, to na pewno ma taką szansę) przeżywa inaczej. Ale wiara pociąga za sobą pewne konsekwencje. Jeżeli wierzę, że mnie kochasz i wychodzisz za mnie za mąż czy żenisz się ze mną, to ma to pewne konsekwencje. Trzeba postępować tak, żeby ta osoba (w moim przypadku Bóg) wiedziała, że traktuje się ją serio. Zarazem wierzę Mu, czyli staram się wprowadzić w życie to, co On zaleca. On mówi mi: będziesz szczęśliwa (co nie oznacza bogata i wesoła), jeśli będziesz postępować według moich zaleceń. Wtedy osiągniesz pokój i wolność wewnętrzną, która przynosi szczęście. Ogromnie lubię powiedzenie Marka Twaina: „Boję się nie tego, czego nie rozumiem w Ewangelii, tylko tego, co rozumiem”. Bo tego, czego nie rozumiem, i tak nie jestem w stanie wprowadzić w życie, natomiast to, co rozumiem, powinienem. Wiara bierze się także z doświadczenia. Nie możemy przekonać się o czyjejś miłości, jeżeli nie zaczniemy z tą drugą osobą iść ręką w rękę. Dopiero starsze małżeństwa mają takie doświadczenie – że drugi człowiek kocha, bo nie opuścił w trudach, bo dzielił z nami wszystkie troski i radości... Dlatego zbyt szybka ucieczka z życia małżeńskiego pozostawia wielką ranę. Miłość to jest wierność.

Wprowadzając krok po kroku to, co staram się zrozumieć z Ewangelii, przekonuję się, że to jest najzwyczajniej w świecie prawda. To jest nieprzekazywalne doświadczenie całego Kościoła.

Czy Bóg ingeruje? Chrystus powiedział wyraźnie, że ubodzy, z którymi ja żyję, są Jego własnością. Prosił mnie wyraźnie, jak prosi zresztą każdego chrześcijanina, żeby Jego cierpienie w twarzy tego cierpiącego człowieka przemienić w piękno. Jeśli więc staram się to robić, liczę na to, że On jest ze mną. A jak jest ze mną, to... niech da na to „kasę”.

Bardzo często powtarza Siostra słowo „ubodzy” i wydaje się, że istotą chrześcijaństwa dla Siostry jest bycie z nimi. Kto jest tym ubogim i na czym polega życie z ubogimi? Czy to jest droga dla wszystkich? Większość z nas nie jest w stanie porzucić życia zawodowego i rodzinnego, aby codziennie pomagać w domach opieki.

Na całe szczęście nie wszyscy mają taką samą drogę. Nie jest ona dla wszystkich, bo ktoś jeszcze musi robić na tym świecie parę innych rzeczy. Natomiast jest to na pewno droga powszechna. Krótko mówiąc, Bóg mieszka pod trzema adresami: Kościół, Eucharystia i drugi człowiek. Utało się, że zwykle szukamy Go pod dwoma albo pod jednym, natomiast można Go znaleźć tylko pod trzema naraz. Na tym polega cała tajemnica. Święta Teresa od Dzieciątka Jezus, karmelitanka z zamkniętego zakonu kontemplacyjnego, która zmarła, mając dwadzieścia dwa lata, została patronką misji. Nigdy w życiu na misjach nie była, bo do Karmelu wstąpiła, mając lat szesnaście, za zgodą papieża, który uczynił dla niej wyjątek.

Nie ma innej drogi do Boga, jak te trzy adresy jednocześnie, oczywiście z różnym naciskiem na każdy, bo nie da się jednocześnie być w kościele i wyciągać wszy z głowy bezdomnego (z ostatnio żyjących znanych nam ludzi tylko ojciec Pio miał dar bilokacji).

Kto jest tym ubogim? Drugi człowiek. To może być żona, własne dziecko, dziecko sąsiadów. Nikt z nas przez całe życie nie jest bogaty i przez całe życie nie jest ubogi. Wspomniałam dwa przykłady ludzi bogatych: człowieka, który podzielił się pamperszem, i mojego syna Artura, który skądinąd potrafi zdemolować całe pomieszczenie, kiedy ma atak agresji. Każdy ma swojego proroka. Moim jest Artur, głęboko upośledzony autystyk, który uczy mnie świętej cnoty cierpliwości dużo lepiej niż w średniowieczu uczono benedyktynów, każąc im ręcznie przepisywać księgi.

W naszym życiu nigdy nie planowaliśmy, że na przykład zbudujemy siedem domów dla bezdomnych, trzy warsztaty pracy dla bezrobotnych, świetlicę, założymy fundusz stypendialny itp. W którymś momencie stanął przed nami po prostu człowiek z konkretną potrzebą. Podobnie ja sama nigdy nie planowałam, że zostanę matką dzieci. W pewnym momencie stawały przede mną dzieci: Małgosia, potem Artur, Janek, Merinda, Dorotka. I pytanie: co ty na to? Reakcja mogła być różna. Moja odpowiedź była taka właśnie, ponieważ uważałam, że byłoby świństwem powiedzieć: „To teraz zmykaj, zawiozę cię do domu dziecka”, a następnie pójść pobożnie się pomodlić. Oczywiście gdyby teraz stanęło przede mną dziecko, to już bym go nie wzięła, bo oczywiście są granice rozsądku i możliwości, także fizycznych – jestem za stara.

Przed każdym z nas co chwilę staje w życiu prorok (choć uwaga! - mogą być też fałszywi prorocy i „podpuchy”). Naszymi prorokami są przede wszystkim nasi najbliżsi – żona, dzieci, teściowa... Tu nie ma żadnych tajemnic. Na ogół omijamy tych uciążliwych proroków, a chętnie wyciągamy ręce do tych, z którymi „nadajemy na tej samej fali”. Ale jeśli chcemy czynić świat pięknym, należy przekonać do siebie na przykład synową. Mnie się to udało, mam taką nadzieję.

Jak zmieniło się Siostry doświadczenie świata, innych ludzi, samej siebie poprzez to, że została Siostra matką pięciorga dzieci, a potem babcią?

To jest oczywiście nieprawdopodobne doświadczenie, tym trudniejsze chyba, że nie jestem ich matką biologiczną. Po pierwsze, pozwoliło mi to rozmawiać na tym samym poziomie z samotnymi matkami, które mieszkają w naszych domach. Zawsze mogłam wysunąć chociażby taki argument: „Moje drogie, macie brud w pokojach. Ja też sama wychowuję dzieci, a u mnie jest czysto”. Ale oczywiście nie dlatego zostałam dla tych dzieci matką.

Co mi to dało? Przede wszystkim wieczną młodość, bo gdybym była sama, może siedziałabym sfrustrowana gdzieś w kącie. Po drugie – bogactwo doświadczenia, czym tak naprawdę jest miłość. Tym bardziej dlatego, że moje dzieci, tak jak wszystkie dzieci, które tam mamy, to są „zranione książęta”.

Bezdomnych, którym Siostra pomaga, spotykamy nieraz na ulicy. W społeczeństwie pokutuje często stereotyp myślowy – że oni sami są sobie winni. Jaki jest statystyczny scenariusz takiego życia? Jak człowiek staje się bezdomny?

Jak człowiek staje się bezdomny „statystycznie”? - trudno powiedzieć. Mężczyzn w dużej mierze doprowadza do tego alkoholizm. Przyczyny alkoholizmu bywają różne, skutek na ogół ten sam – to jest choroba śmiertelna. Przychodzą do nas ludzie tak schorowani i przepici, że dość szybko umierają. Przychodzą ludzie młodzi, przychodzą wychowankowie domów dziecka, którzy mając lat trzydzieści-czterdzieści, nie potrafią nadal odnaleźć się w tym świecie. Jest spora liczba osób z zaburzeniami psychicznymi, niebędących w stanie żyć samodzielnie. Są też ludzie upośledzeni umysłowo - jak mówimy – „za mądrzy”, aby dostać rentę, i „za głupi” (wedle kryteriów bezwzględnego świata konkurencji), żeby żyć. Nie są w stanie funkcjonować sami, natomiast nie są na tyle niepełnosprawni, żeby można było umieścić ich w domu pomocy społecznej albo załatwić im zasiłek. Takich jest bardzo wielu, zwłaszcza wychowanków domów dziecka, które przyjmują dzieci upośledzone w stopniu lekkim i później w wieku lat osiemnastu wyrzucają je do domów, z których zostały zabrane, albo wręcz „pod chmurkę”. Tak naprawdę niewielkie są szanse, żeby pomóc tym młodym ludziom zaistnieć w normalnym społeczeństwie i założyć rodzinę. Choć czasem takie szanse są, zwłaszcza w przypadku osób o normalnym poziomie inteligencji.

Jak mądrze im pomagać? Stworzyła Siostra całą infrastrukturę i z wielką inwencją przysposabia Siostra swoich podopiecznych do różnych zawodów: wykonują oni wspaniałe konfitury, drewniane meble, a ostatnio nawet ekskluzywną bieliznę damską w zakładach tkackich. Ale jak możemy pomagać im my, którzy czujemy, że nie jesteśmy w stanie zaangażować się głęboko i przyjąć ich do swoich domów? Jak z nimi rozmawiać, żeby skutkiem nie był tylko krótkotrwały gest jałmużny?

Taki gest też może być ważny. Czasami najważniejsze jest spojrzenie. Kiedyś straż miejska przywiozła do naszego domu starego człowieka. Umyliśmy go, wykonaliśmy wszystkie konieczne zabiegi i położyliśmy do łóżka, bo prawie nie chodził. Piotrek nakarmił go zupą. Kiedy się skończyła, zapytał: „Może jeszcze zupki?”. I wtedy tamten stary człowiek się rozplakał. Był wcześniej pacjentem wielu szpitali, w których standardowo należy się jedna zupa. Stawia się ją, przeważnie zimną, na stoliku koło łóżka. Natomiast nikt nigdy nie zapyta: „Może jeszcze?”. To była ta różnica i dlatego on się rozplakał.

Jak pomagać? No więc właśnie czasami można zapytać, czy dać jeszcze zupki. Ale nie można być też naiwnym. Nie radziłabym przyjmować bezdomnego do własnego domu, tylko znaleźć ludzi, którzy są w stanie mu pomóc. My na przykład nigdy nie pomagamy człowiekowi bezdomnemu indywidualnie. Nie wolno tego robić. Młode dziewczyny, które do nas przychodzą, pełne świętego, choć nieraz naiwnego zapału, niejednokrotnie kończą tragicznie, ponieważ moi ukochani mieszkańcy są świetnymi manipulatorami i bardzo często wyprowadzają te dziewczyny, delikatnie mówiąc, na manowce. Dlatego robimy to jako wspólnota i ciężar obowiązków i kompetencji rozkłada się na wiele osób. Czasami cierpienie i problemy ludzkie są zbyt ciężkie do uniesienia dla jednego człowieka. Chrystus może je nieść, ale my - ludzie - nie. Co innego pomóc w lekcjach dziecku sąsiadów, a co innego mieć do czynienia z człowiekiem uzależnionym, po wieloletnim więzieniu, z

zaburzeniami psychicznymi. Poza tym jest to zwyczajnie niebezpieczne. Trzeba więc najpierw dotrzeć do takiego człowieka i sprawdzić, czy on rzeczywiście chce wyjść ze swojej sytuacji. Potem ustalić, kto może mu pomóc. Bo niekoniecznie my. My też nie zawsze przyjmujemy wszystkich do naszych domów, bo czasem wiemy z góry, że danemu człowiekowi w jego cierpieniach i trudnościach nie pomożemy. Że ktoś inny zrobi to lepiej, bo jest do tego przygotowany.

Natomiast najczęściej wystarczy bardzo niewiele. Ku czemu chcemy pomóc? To jest pytanie o sens. Staramy się pomagać tak, żeby człowiek odzyskał wolność. Ale niekoniecznie musi od nas odchodzić. Są tacy, którzy mieszkają u nas wiele lat i u nas umierają, bo jesteśmy jedynym miejscem, w którym oni mogą żyć. Ale chcemy, żeby ludzie byli wolni i żeby żyli godnie. Stworzyliśmy na przykład fundusz stypendialny, żeby pomóc młodzieży w nauce, dać jej więc narzędzie do znalezienia lepszej pracy i bardziej godnego życia. Przedszkole też służy przełamywaniu barier i dawaniu szans na przyszłość. Pomysłów może być wiele.

Nawiążmy jeszcze do idei Kaia Bumanna – „Polski jako kraju nadziei”: co oznacza dla Siostry bycie Polką? Wywodzi się Siostra z rodziny o głębokich tradycjach patriotycznych – rodzice brali udział w powstaniu warszawskim, w rodzinie byli żołnierze wojny polsko-bolszewickiej i powstaniec styczniowy. Co jest dla Siostry zasadnicze dla doświadczenia polskości?

Świetnie ujął to Jan Paweł II: narodowość, w której się urodziliśmy, jest naszym powołaniem. To nie znaczy, że ktoś, kto wyjeżdża za granicę czy jedzie na misje do Afryki, je zdradza. Natomiast taka jest nasza ludzka kondycja. Pan Jezus był Żydem, Matka Boska Żydówką i czy się to komuś podoba czy nie, nie da się tego zatrzeć w ich biografiach. Tak jak w mojej tego, że jestem Polką.

Jest to więc pewne zobowiązanie. Kocham ten kraj, uważam, że jest piękny, a Polacy wspaniali, ale oczywiście bywamy też trudni. Ja też. Mamy ogromne poczucie humoru, wbrew pozorom duży dystans do siebie, nieprawdopodobną wyobraźnię, jesteśmy odważni i zaradni. Polak potrafi - ciągle jeszcze, choć już dużo mniej. Widzę to wśród naszych bezdomnych – ci dawniejsi potrafili zrobić wszystko, natomiast młodzi, którzy teraz przychodzą, mają na ogół lewe ręce. Takich specjalistów od wszystkiego jest w naszych domach coraz mniej.

Polska to jest zobowiązanie, ale również, a może przede wszystkim, pewne poczucie wspólnoty i współodpowiedzialności.

Co możemy wnieść do Europy? Kiedyś w rozmowie publikowanej w „Znaku” opowiadała Siostra o tym, jak jej podopieczni zostali poproszeni o to, żeby pomóc w reformie domu pomocy społecznej w Belgii, gdzie rozleniwieni dobrobytem mieszkańcy nie mieli pomysłu na życie. Polacy podsunęli im wtedy oryginalne sposoby na zarabianie pieniędzy.

Tak, Polak potrafi... Ironia losu polega na tym, że potem mieliśmy wieloletni proces sądowy o zmuszanie belgijskich bezdomnych do niewolniczej pracy. Chodziło o to, że mieszkańcy tego domu zostali poproszeni o zmywanie naczyń i czyszczenie toalet. Po sobie. Ponieważ nie bardzo chcieli to robić, ściągnęliśmy naszych wolontariuszy z Polski, ale Belgowie i tak złożyli skargę. Proces skończył się w tym roku. Kosztował bardzo dużo, ale zapłaciła za niego wspólnota francuska. Zostaliśmy uniewinnieni.

Mamy do ofiarowania ogromny dynamizm i pomysłowość. Ciągle jeszcze, choć biurokracja, konsumpcjonizm i nasza roszczeniowość zabijają to w nas coraz bardziej. Jesteśmy kreatywni – i to też mamy do dania – i ciągle jeszcze bezinteresowni. Na szczęście ciągle jeszcze jesteśmy nieprzewidywalni.

Kreatywność, którą uparczywie zabija się w dzieciach, zwłaszcza w szkole, ciągle przebija się jakoś przez tę naszą polską duszę.

Jaki jest stosunek Siostry do polskiego Kościoła? Czuje się Siostra jego częścią, nie kryje Siostra jednak swojego krytycyzmu w stosunku do niego.

Czy ja kiedykolwiek krytykowałam Kościół?

Wspominała Siostra choćby o przykładach świętoszkowatości, o braku miejsca dla ubogich, o rytualizmie... Mógłbym podać szereg takich „kompromitujących” przykładów...

Kościół – mój Kościół – jest taką szczególną wspólnotą, która powinna wiele razy dziennie robić rachunek sumienia. Każdy z nas powinien wciąż zadawać sobie pytanie, co zrobił, aby było lepiej, bo sama krytyka Kościoła do niczego nie prowadzi. Oczywiście należy nazywać zło po imieniu: jeśli znana jest nam sytuacja molestowania seksualnego dziecka przez księdza, należy to natychmiast zgłosić do prokuratury. Jeżeli uważamy, że biskup X żyje zbyt bogato, powinniśmy wprost mu to powiedzieć, bo taka jest ewangeliczna kolejność rzeczy: najpierw powiedzieć w cztery oczy...

Co można zrobić w Kościele? Być bliżej Boga i ludzi, a wtedy to się złoży w całość. Krytyka jest wtedy skuteczna, jeśli sami dajemy przykład. Kiedyś odwiedziłam pewnego biskupa, który na wstępie zaczął mi się tłumaczyć, że wyremontował swój pałac, ponieważ miał zagrzybione ściany. Po pierwsze dobrze zrobił, w końcu pałac biskupi to zabytek, a po drugie – zupełnie mnie to nie obchodziło. Ale jego, widać, mój tryb życia zmusił do refleksji. Czasem nasza postawa może dać innym do myślenia i pomóc im w nawróceniu. Trzeba jednak zacząć od siebie.

Pytania z sali

W jaki sposób walczy Siostra z trudnościami, kiedy ma Siostra przed sobą ścianę smutku, choroby, agresji, która normalnego człowieka mogłaby zabić czy zniszczyć? Co oprócz modlitwy może pomóc w tej niekończącej się walce?

Oprócz modlitwy jest oczywiście... modlitwa. To bardzo ważne pytanie, bo kiedy żyje się w getcie cierpienia, to można w pewnym momencie próbować przyjąć postawę Boga, który chce wszystko uleczyć, albo Gombrowicza, który próbował stawiać na nogi zuczki na plaży, ale ponieważ były ich tysiące, po prostu poszedł sobie, uznając, że to nie ma sensu.

Wydaje mi się, że istnieje postawa pośrednia. Dla mnie jest to głębokie przekonanie, że nie ja jestem panem historii, tylko Bóg, Chrystus. Po drugie to, że ktoś umarł na alkoholizm, ale w czystym łóżku, jest już chyba jakimś krokiem ku polepszeniu świata. Nie spodziewam się osobiście i nigdy się chyba nie spodziewałam, że jak się dobrze postaram, to zniknie cierpienie, łzy i całe zło. Widzę natomiast i głęboko wierzę w to, że nawet niewielkie dobro powoduje efekt lawiny. I nawet niewielkie dobro potrafi, jak zapalona zapalka, rozjaśnić ciemność, a później zapala się już całe słońce. Tego doświadczamy na co dzień. Nie tyle tego, że umierający nagle wstaje z łóżka i zaczyna nosić ciężary. Natomiast doświadczaliśmy tego, że trzydziestoparoletni człowiek, który umiera w naszym schronisku na raka, ma nadzieję i odchodzi pogodzony ze sobą i z tymi, którym przez swój alkoholizm wyrządził krzywdę i którzy też jego skrzywdzili. Tylko tyle i aż tyle. Z mojego syna nie zrobię magistra ani dyrygenta w filharmonii – ale on idzie ze swoimi dziećmi na basen, kocha je i dla nich haruje na angielskim zmywaku. Więcej nie osiągnę. Być może kiedyś więcej osiągną jego dzieci – w naszym ludzkim pojmowaniu, w hierarchii społecznej. Natomiast teraz mogło się stać tyle i więcej nie. Wszystko zależy od proporcji. Dlatego mówiłam o spojrzeniu. Jeśli nie będziemy przemieniać świata

z Ewangelią w ręku, to możemy albo popaść w obłąd albo w to, co działo się nie tak dawno, jeszcze dwadzieścia parę lat temu – w przerabianie świata na siłę.

Ale ja pytałem o Siostry własny ból, bo w ten sposób chciałem usłyszeć, jak ja sam mam sobie radzić z trudnymi sprawami. Co robi Siostra, żeby pomóc sobie samej, kiedy jest źle - po to, żeby móc pomagać innym?

Szczerze? Różnie. Czasem po prostu klnę jak szewc, wsiadam w samochód i jadę przed siebie, żeby oprzytomnieć. Czasem bardzo pomaga kryminal Agaty Christie, pomagają przyjaciele ze wspólnoty, wesołość, obracanie różnych rzeczy w śmiech. Myślę, że zbawienne są - poczucie humoru i dystans do siebie. Zalecam śmiech i basen.

Jaki wpływ będzie miała na Polaków Europa? Co zrobić, aby pozytywne cechy polskiego charakteru, jak kreatywność, bezinteresowność, o których Siostra mówiła, były trwałe?

Przede wszystkim zależy to od samych Polaków. Nie jest przecież tak, że będą tu przyjeżdżać ludzie innych narodowości i zmuszać nas do czegoś. Rzecz nie polega na złym wpływie „brzydkich” Europejczyków z Zachodu, tylko na przemianach, jakie się dokonują w naszym społeczeństwie. Przede wszystkim na przemianach w szkole. Upieram się, że to szkoła winna jest temu, że młode pokolenie nie potrafi nic zrobić. Na zajęciach technicznych dzieci uczą się wszystkiego głównie z książki (moje dzieci z podręcznika przerabiały przyszywanie guzików). Jak w taki sposób można wzbudzać w dzieciach kreatywność? Ile szkół ma pracownie fizyczne, chemiczne czy biologiczne? W moim rejonie żadna. Świat współczesnych dzieci to świat z telewizji, kartonowa, obrazkowa cywilizacja i wiedza wykuta z podręczników czyli niemająca nic wspólnego z rzeczywistością.

Kolejne zaniedbania są efektem wypierania poczucia wspólnotowości na rzecz indywidualizmu. To wielkie niebezpieczeństwo. Stąd na przykład bardzo słaby rozwój organizacji pozarządowych w Polsce - nie czujemy się współodpowiedzialni za państwo. Ale ilu wiernych czuje się współodpowiedzialnych za Kościół? Wielu uważa, że Kościół to maszyna do sakramentów, a ksiądz to ten facet, który wyciąga im pieniądze z kieszeni. Oczywiście wina jest obopólna, zarówno księży, jak i wiernych. Ale coraz mniej czujemy się odpowiedzialni za kształt świata, który jest wokół nas. Socjalizmu już nie ma, a my wciąż tęsknimy za państwem opiekuńczym.

I wreszcie sprawa trzecia - około półtora miliona młodych, kreatywnych i wykształconych za nasze pieniądze ludzi wyjechało i buduje bogactwo królowej brytyjskiej, która jest skłonna płacić za to wysokie zasiłki rodzinne i dawać mieszkania. Więc kto tu jest głupi? My.